

## SZKIC AUTOBIOGRAFICZNY

Urodziłem się d. 26 marca 1867 w Nieszawie na Kujawach jako drugi syn Władysława, rejenta okręgu Nieszawskiego (1828—1879) i Eleonory z Sandomierskich (1837—1909).

1867—1877 — dzieciństwo spędziłem w atmosferze małomiasteczkowej, ale kulturalnej. Ojciec mój był b. inteligentny, drukował m. in. tłumaczenia z Francuskiego „Paweł i Wirginia“ Ber. de St. Pierre.

1877—1884 — szkoła realna sześcioklasowa we Włocławku. Kolosalne wrażenie katedry Włocławskiej z jej pomnikami i piękno położenia miasta. Budzi się wielkie zamięłowanie do rysunku i historii. Z zamięłowaniem rysuję co się da i studjuję genealogję i heraldykę (co mi się przyda przy zrozumieniu stylów), kopjuję głowy z albumu Matejki, portrety z historii Radziwiłłów, typy Szekspirowskie (Ryszard II) i t. d.

Dwie nagrody za rysunki.

1884—1886 siódma klasa w Łowickiej szkole realnej. Uderzające piękno kościołów Łowickich, moc pomników. „Ogniem i mieczem“ Sienkiewicza.

W latach 1881—1886 pięć wakacji spędzonych na wsiach Polskich na Kujawach i w Radomskim, co daje mi moc wrażeń pejzażowo-architektonicznych.

W 1886 r. wyjazd do Petersburga do akademji sztuk pięknych, pożegnanie Polski na 32 lata (do 1918 r.), którą odwiedzałem czasami, ale nigdy na stałe nie zamieszkiwałem.

Petersburg! Piorunujące wrażenie potężnej, wspaniałej stolicy tak bogatej w arcydzieła sztuki. Ermitaż! Ermitaż! Pałace, pałace, gmachy monumentalne.

Plakałem z zazdrości, porównując z Warszawą tak ubogą w muzea, monumenty.

1886—1894 studjuję architekturę. Otrzymuję kolejno wszystkie odznaczenia akademickie, aż kończę z wyjątkowym odznaczeniem, będąc wysłanym za granicę na lat trzy. Zagranica. Włochy, Niemcy, Londyn (1887). Francja szczególnie, gdzie poświęcam się z zamiłowaniem studjom nad Francuską architekturą XVIII w. Biorą mnie za moskala francuzi, otwierają wszystkie niedostępne części pałaców Wersalu. Compiegne. Fontainebleau. Złote czasy sympatji Franco-Russe. Korzystam z tego, co się da, poznaję architekturę Louis XIV, XV, XVI i Empire au fond \*).

W 1898 r. wracam do Petersburga \*\*), wstępuję do Koła młodej Rossji, grupującej się wokół „Mira Iskusstwa“ (Djagilew, Bakst, Filozofow, Korowin, Sierow, Miereżkowski, Maliutin). Pisuję w „Mir Iskusstwa“. Olbrzymie znaczenie tej grupy na mój rozwój artystyczny.

W 1899 jadę do Moskwy jako kustosz, nauczyciel historii sztuki i kompozycji do znakomitej szkoły Przemysłu artystycznego Stroganowskiej.

Złota era tej szkoły: wielki rozkwit, wielkie talenty nauczycieli (Korowin, Wróbel). Od 1899 do 1906 jestem inspektorem tej szkoły. Wykładanie historii sztuki i kustoszowanie muzeum przemysłu artystycznego zbliża mnie b. do znajomości stylów. A wykłady zaczynam ilustrować kredą na tablicy, w czym osiągnąłem ostatecznie rozgłos w Rossji i Polsce następnie. Rozwijam wielką działalność odczytową w Moskwie i Petersburgu i w wielu miastach Rossji. Poznaję dobrze Rossję.

---

\*) W latach 1886—1898 zwiedzam trochę Polskę — Kraków, Poznań, Wilno, Kieleckie, Radomskie, Żmudź.

\*\*) W 1898 r. próbuję dostać się do politechniki rosyjskiej warszawskiej, ale — odmówiono mi jako polakowi.

Jaka piękna jest Moskwa i Rossja cała na miejscu nie przeفلcowana na nasze ziemie! Zaczynam rysować tablice dla wykładow (Assyrja, Grecja i t. d.), potem rozpoczynam pierwsze cykle (a rysowałem zawsze cyklami całemi: jak mnie obsiadł jaki temat, to starczyło mi go na dziesiątki rysunków). Pierwszy cykl — była staro-rossyjska architektura: wystawiłem go w 1901 r. w Moskwie z dużem powodzeniem, chociaż prawdziwi wielcy artyści rossyjscy twierdzili zupełnie słusznie, że w tych rossyjskich rzeczach przebija się najwidoczniej polak, obcy kulturze moskiewskiej (Korowin, Sierow, A. Wasniecowa).

Do 1915 r. malowałem wyłącznie tuszem i sepją, kolorytu bałem się po prostu.

Polskie tematy zacząłem próbować koło 1904 r. Wystawiłem w Krakowie znów z powodzeniem, wkrótce zostałem członkiem „Sztuki“ krakowskiej. Ale w tych polskich rzeczach nie było jeszcze szczerzej polskości. W 1907 r. (?) The Studio (jak i w 1925) zamieściło kilka moich rossyjskich rysunków, z krótkim tekstem p. Ettingera. Wystawiłem dużo w Rossji i w pawilonach rossyjskich za granicą rzeczy rossyjskich (Monachjum 1911, Wenecja 1914). Wystawiałem w Krakowie i Warszawie, oczywiście rzeczy polskie.

W 1906 r. zostałem profesorem architektury w Moskiewskiej szkole sztuk pięknych.

W 1914 r. akademja sztuk pięknych w Petersburgu nadała mi tytuł akademika, w 1915 r. zostałem rzeczywistym członkiem tej akademji (z polaków byli członkami tylko P. Weloński i ja \*). W Rossji ceniono mnie bardzo i szanowano. I rozwidliła się moja dusza, rozdziwiła się jakby. Świat artystyczny Rossji był w wielkim stylu, uważam za szczęście swoje, że poznałem ten rozmach, skalę nie naszą. Bez pobytu w Rossji nie byłbym sobą dzisiaj.

Petersburg, Moskwa, bajecznie kolorowa i ciekawa Rossja cała

---

\*) Wtedy nabyto me rysunki dla słynnej galerji rossyjskich malarzy w Moskwie — Tretjakowskiej.

w życiu mojem artystycznym odegrała olbrzymią rolę. Ale nie zagłuszyły polskości.

Po rosyjsku zawsze mówiłem z wybitnym akcentem Polskim. Zawsze myślałem biegłem ku naszej ziemi, ku jej pejzażom, zabytkom, sztuce. Kolekcjonowałem fotografie i rysunki z Polski, oblicze jej zawsze nosiłem w sercu.

I oto, kiedy nadeszła wielka wojna, opisy zniszczenia Polski, pożogi, bombardowania i inne okropności tak mną wstrząsnęły, że w 1916 r. narysowałem olbrzymi cykl (około 600 rysunków jednakowego formatu) Polskiej architektury, chcąc utrwalić to, co w pamięci z lat minionych mi zostało. A więc chałupy, dworki, kapliczki, kościoły, klasztory, miasteczka, pałace, zamki — wylewały się z pod mojego pendzla bez końca (czasami rysowałem po 10 rysunków w dzień, nocą raczej), a wszystko oparte na wspomnieniach dzieciństwa i kilku krótkich przejażdżkach po kraju.

Cykl ten wydany był we Lwowie 1920 r. i zrobił mi wielki rozgłos w Polsce.

Od 1915 rozpocząłem używać kolorów dla swych rysunków, nadspodziewanie z powodzeniem, szczególnie dla rosyjskiej architektury.

W 1918 r. uciekłem z Bolszewji do Polski, zaraz na wstępie w Warszawie zostałem urzędnikiem min. sztuki, a wkrótce profesorem historii sztuki na politechnice warszawskiej. Katedrę tę zajmuję do tej chwili.

Od 1918—1923 rysowałem nie wiele, natomiast w 1924 masę: zagrożony ślepotą (kataraktą) chciałem narysować wszystko, co mam w duszy. Operacje oczne udały się i rysuję dotąd wciąż jeszcze dużo, czasami z zapalem starym. Większość rysunków teraz koloruję.

Wystawiam ciągle, jeszcze zdaje się nie znudziłem się ostatecznie. W 1921 r. miałem wielką wystawę prac swoich w Londynie razem z Kuną (powodzenie duże), w 1922—25 w Paryżu, najwięcej w latach 1927—28 Praga, Wiedeń, Budapeszt, wreszcie Londyn i Amsterdam, wystawa olimpijska. Zaproszono mnie ostatnio do Brukseli na wykłady do Palais de Beaux Arts.



24. Sala renesansowa z czasów Zygmunta Augusta (II)





25. Sala zamkowa z epoki Wazów

Takie tedy w krótkim zarysie jest moje życie i moja działalność. Z materiału tego Szanowny Pan wybierze co uzna za stosowne, nie pomijając głównego.

Piszę jak rysuję: krzywo, plamami, nieporządnie — ale człowieka nie można odedrzeć od artysty.

Warszawa, 18 września 1928 r.

## KARTKI WSPOMNIENI Z LAT DZIECIŃSTWA I MŁODOŚCI

Urodziłem się dawno już, niestety, bo w 1867 roku w Nieszawie na Kujawach, u granicy pruskiej. Ojciec mój był rejentem miejscowym i do kancelarii jego schodzili się wciąż ludziska, żeby jakieś tam akty sporządzać.

Od najmłodszych lat pamiętam malownicze postacie „interessantów“, chłopów i wieśniaczek okolicznych w ciemnych sukmanach, kozuchach baranich, w pstrych chustach.

Utkwiło mi w pamięci dużo granatowego, białego, jakieś jaśkrawe plamy pomarańczowe i złociste, sznury koralu różowych, paciorki niebieskie i bursztynowe, ostry zapach skóry, kędziory białe baranie, jedwab z chustek z długimi frędzlami, zorane uparte twarze chłopów, zmarszczone jak grzyb, twarze bab z żółtymi w pstre kwiaty zawojami na głowach. U rejenta z rzadka bywa młodzież, zwykle ludzie w latach lub na schyłku życia, najczęściej sprzedają, testament, rzadko intercyza.

Czekali czasami w przedpokoju kolejki, rozsiadłszy się na ławach, a ja, wsunawszy palec w gębę lubiłem patrzeć się bez końca na te powagi: Piast z ich rodu wyszedł, a „jeden z nich“, Król nazwiskiem był przecież ojcem chrzestnym mojej starszej siostry z 1861 roku, z powstania, kiedy bratano się z ludem i na cześć cesarzowej Francuzów siostrę Eugenią nazwano.

Czasami sadowiłem się między baby, żeby gawędę uciąć: Ach te kujawskie typy. Ach te Kujawy moje. Takie zdrowe, żyzne, tęgie, bogate strony, stare polskie. Jakie łany pszenicy, jakie mo-



draki i kąkole, jakie bory sosnowe, ile wrzosu, jakie piachy, jaka Wisła, jakie chłopcy, jakie dziewczki, jakie korale, jakie chaty mile słomą kryte, jakie malwy, jakie topole.

A od wczesnego dzieciństwa bywaliśmy, pamiętam rok rocznie latem na wsi o cztery dobre mile od Nieszawy u wuja, mojego chrzestnego, który gospodarzył na niewielkim, włók coś 10—12, nie pamiętam dobrze, mająteczku, nie dużym, ale ładnym. Żydzi go później zjedli.

Na wsi był dworek stary, pochylony trochę, ale zdrowy, drewniany, bielony z wielką słomianą strzechą.

Cztery pokoje, sień z stromymi schodkami na poddasze, schowanko, spiżarnia, bielone pułapy, podłoga zbita z wielkich desek, trochę falista, chodnikami zszytymi z okrawków pstrych, nakryta.

Stare piece przysadziste, niskie drzwi i stare meble, poważne kanapy, komody, stoły, ławy i stołki i kilka kolorowych, muchami zapstrzonych sztychów angielskich, w wąziutkich gładkich ramkach z jakimiś morskimi bitwami, luną krwawą pożaru i białym księżycem. U drzwi woda święcona w porcelanowej kropielnicze.

Okna małe z firaneczkami i kwieciami w garnuszkach glinianych.

W jadalni stary kaszłący zegar, w sypialnym Matka Boska Częstochowska z wiecznie płonąca lampką nad komodą, nakryta włóczkową serwetką zastawioną starymi wazonikami z ciętego kryształu z dzwonkiem loretańskim między nimi. Nad łózkami dywaniki z psami i jeleniem, strzelby, prochownice.

Narożny salonik zwykle zamknięty. Czyściutki, jasny pokoik kwadratowy z tapetami i froterowaną podłogą, z mebelkami nowego fasonu, z długimi tego nakrochmalonymi firankami, z kanapką, okrągłym stolikiem, dywanikiem u rogu i etażerką z toczonymi nóżkami. Na etażerze stary porcelanowy zegar, biały z pstrymi kwiatkami i dwa niskie srebrne lichtarze — spuścizna po staroście Mączyńskiej — niżej dwa rzędy pięknie oprawionych „Kłosów“, moich ulubionych „Kłosów“ z rysunkami Matejki i Andriollego, dwóch najmiłszych mi mistrzów. Czuć wilgoć.

Wprost jadalnego — spiżarnia, nieduża, ciemna z półkami ugi-

nającymi się pod ciężarem czegoś smacznego i pachnącego, z jednym niewielkim zakratowanym okienkiem, zasłoniętym jaskrawo zielonymi liśćmi, przez które przedzierało się słońce. I szczury.

Obok kuchnia, duża zakopcona i ciemna kuchnia z wiecznie rozpalonym piecem olbrzymim, w rogu stół duży, misy z kartoflami i czeladź spożywająca w milczeniu dary Boże. I osobliwy zapach. Ach te zapachy starego dworku, zapachy, których nigdzie nie spotkać, zapachy jakichś ziół, sarn, suszonych grzybów, nalewek, świeżo wypieczonego chleba, kminu, pleśni jakiejś, wreszcie zapachy starego polskiego dworku. I każdy dworek ma swój własny zapach tak samo jak swoją własną duszę.

Przed dworkiem ganeczek maleńki, trawnik spory okrągły z wybielonym wapnem kamieniem pośrodku, potem staw nieduży, wierzbina obrosnięta, a dalej horyzont szeroki, z drogą jak strzała biegnącą wśród topoli młodych.

Z drugiej strony ogród owocowy, duży, zarośnięty, cienisty ogród z szerokimi drózkami. Tu przy dworku kasztany rozłożyste, bujne kasztany, jędrne i jaskrawe z darniowymi ławkami w ich cieniu rozkosznym. Kasztany niezapomniane, ile czasu w gorące dnie, dnie letnie spędziłem w ich cieniu na darniowych ławeczkach po raz setny przeglądając Kłosa, starą encyklopedię polską lub snując jakieś opowieści i bajki fantastyczne. A dalej stare jabłonie, gruszki, wiśnie, krzewy agrestu, porzeczek, malin i potem zarośla gęste z dziką jagodą i zielonymi, jak jedwab szeleszczącymi liśćmi. A wokół ogrodu topole smutne, wiecznie szemrzące, topole srebrne, topole nasze, brudno robaczywe wierzby, na nic nie zdadne topole, jak bez was byłoby jednak pusto, jak bez was wyobrazić sobie dworek polski. Melancholijna straż starych siedzib naszych, bez ciebie nie ma dla mnie pejzażu polskiego. Koło dworku klomb z różami, rezedą, stokrotkami, floksami i malwy wysokie, po dach słomiany strzelające malwy.

Sztachetki i furtka; za furtką raj: stajnia, obory, stodoły, staw i wieś.

## BOMBARDOWANIE KRAKOWA

Gdzie konie kuja, tam żaba nogę podstawia.

Zobaczywszy, że generał Żeligowski napisał w tej kronice o roli Mądralina w walkach pod Warszawą z bolszewikami w 1920 r., powziąłem zamiar napisania wzmianki o jednym epizodzie z wielkiej wojny światowej, w którym odegrałem (?) pewną rolę. Opowiadanie moje na ten temat przy Mądralińskiej kolacji (a działo się to mniej więcej koło 20 sierpnia 1924 r.) wywołało pewne zaciekawienie, a nawet propozycję niektórych łaskawych na mnie profesorów zapisania tej opowieści w kronice Mądralina, jako przyczynku do sławnych czynów Mądralińczyków wprzód niż nimi mieli zaszczyt zostać.

Rzecz miała się tak.

Pewnego pięknego poranku czasu Wielkiej Wojny dowiedziałem się z gazet moskiewskich, że armie rosyjskie podeszły pod sam Kraków, zajęły Wieliczkę i gotują się do bombardowania Krakowa, które było umotywowane w urzędowym komunikacie Rosyjskiej Kwatery Głównej tą okolicznością, że na wieżach Krakowa (kościelnych i świeckich) ustawione być miały kulomioty (coś w rodzaju usprawiedliwienia się Niemców z konieczności bombardowania katedry w Reims). Bombardowanie Krakowa... Pociski rwące się nad miastem Piastów i Jagiellonów, niosące zagładę dla Polski bezcennych zabytków i świętych pamiątek... Bomby rwące się w katedrze przy trumnie św. Stanisława, w kryptach królewskich, w kaplicy Zygmuntowskiej, w krużgankach Wawelu, dziurawiące dachy i pękające wewnątrz Mariackiego ko-

ściola przed tryptykiem Wita Stwosza, pożar Sukiennic, Rynku, Gołębiej, zniszczenie św. Barbary, Jezuitów, Dominikanów, Franciszkanów, Bożego Ciała, św. Katarzyny, Skalki, św. Anny, biblioteki Jagiellońskiej i inne okropności zmorą stały przede mną.

Bombardowanie Krakowa. Cóż mogło bardziej wstrząsnąć duszą polską, przeciętną duszą polską, nie mówiąc o duszach rozmiłowanych w bezcennych skarbach kultury i sztuki krakowskiej.

Nadzwyczajne dodatki wieczorne powtórzyły potworną wiadomość o zapowiedzi rychłego bombardowania...

Ogrom zbliżającej się nieubłaganej katastrofy zmiażdżył mnie doszczętnie. Czułem, że obowiązkiem moim jako Polaka jest zrobić jakiś nadludzki wysiłek, by katastrofie narodowej zapobiec.

Ale co mogłem zrobić ja, skromny artysta polski, nauczyciel skromniejszy jeszcze moskiewskich szkół artystycznych, pionek szary, utopiony w morzu rosyjskim przeciw kataklizmowi, który niechybnie się zbliżał?

Ale, przebierając w bezsennej nocy wszystkie możliwe, a raczej niemożliwe kombinacje, wpadłem na myśl, że jestem przecież rzeczywistym członkiem Petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych, że w Moskwie wśród innych kilku członków tej Akademii mieszka hrabina Uwarowa, prezes Moskiewskiego Towarzystwa Archeologicznego, wielka arystokratka rosyjska, dama dworu, dama orderu św. Katarzyny, osobista przyjaciółka rodziny cesarskiej, wielka uczona, na swój sposób b. liberalna, a co najważniejsze może, b. porządna i uczona kobieta.

Co prawda, niedawno na posiedzeniu Archeologicznego Towarzystwa słyszałem z jej ust sprawozdanie o postępach armii rosyjskiej, która „wraca na łono Ojczyzny przed wiekami oderwane ziemie halickie z ich bezcennymi dla kultury ogólnorosyjskiej zabytkami”.

Cichym głosem wymieniała litanie rozmaitych miejscowości historycznych dzisiejszej Małopolski wschodniej, powtarzając przy każdej prawie nazwie radosne „znów nasza”.

„Dzięki Bogu Tierembowla (Trembowla) znów nasza, Zaleszczyki znów nasza...”



Ale, rozumiejąc, że jeżeli ona tak głęboko ceni i kocha zabytki ruskiej kultury, to przecież zrozumie mnie i może coś pomoże. Szaleństwo, szaleństwo, ale tonący brzytwy się chwyta. Było mało co po dziesiątej rano, kiedy zjawiłem się w pałacyku hrabiny w Leontjewskim zaułku. Pora niezupełnie zwykła dla wizyt, toteż, podając służącemu swój bilet wizytowy, powiedziałem z naciskiem, że błagam hrabinę o udzielenie mi kilku chwil rozmowy. W salonie, poprzedzającym gabinet, wisiały dwa duże obrazy Guardiiego, widoki Wenecji, dobrze mi znane zresztą z posiedzeń Towarzystwa Archeologicznego, które często odbywały się w tym salonie właśnie.

Po chwili wprowadzono mnie do gabinetu. Hrabina Paraskiewa Sergiejewna Uwarowa (z ks. Szczerbatowych) była to dama b. wiekowa, b. wysoka, b. chuda, trzymająca się b. prosto, z twarzą i rękoma zaoranymi przez zmarszczki, z szpakowatym warkoczem, zwiniętym na głowie niby gniazdo bocianie. Głowa jej z lekka się trzęsła. Ubrana była jak zawsze od śmierci męża czarno, żałobnie prawie. Stała przy biurku, na którym leżały rozrzucone w nieładzie gazety z ultrakonserwatywnymi „Moskiewskimi Wiadomościami“ na czele; na pierwszej stronie tej gazety widniał telegram, który tak mną wstrząsnął. Hrabina trzymała mój bilet wizytowy w ręku, pytająco patrząc na mnie, ale po chwili rozmowy przypomniła sobie mnie z posiedzeń w Moskwie i Petersburgu, wspomniła nawet o moich rysunkach z architektury rosyjskiej, prosiła usiąść i spytała, jakie sprawy sprowadzają mnie do niej w tak niezwykle wczesnej porze.

Głosem załamującym się od wzruszenia powiedziałem jej o grozie, jaka zawisła nad Krakowem, o tym strasznym stanie ducha, w jakim miliony współrodaków moich znajdują się w tej chwili, wspomniłem o odezwie W. Ks. Mikołajewicza do Polaków i skończyłem tym, że znając dobrze umiłowanie jej zabytków rosyjskich, pewien jestem, że znajdę w niej zrozumienie patriotyzmu mojego i kultu, jakim Polacy otaczają zabytki i pamiątki historyczne swoje z Krakowem na czele. Hrabina odpowiedziała, że Kraków właśnie dobrze zna, że przed wielu laty zwiedzała go b. szczegółowo z nieboszczykiem mężem swoim — „niech od-

poczywa w spokoju“ — że oprowadzali ich wówczas Łuszczkiewicz i Sokołowski, że spotkali się z niezwykłą, ale to niezwykłą uprzejmością i gościnnością, dodała, że Kraków to właściwie nie miasto, ale muzeum żyjące i całkowicie zgadza się ze mną, że bombardowanie tego miasta (bez absolutnej konieczności strategicznej) byłoby w istocie... nieszczęściem dla kultury ogólnoludzkiej.

Ale co ona może zrobić?

Zapanowała chwila tragicznego dla mnie milczenia; Hrabina bębniła palcami po biurku i wreszcie, po dłuższej chwili namysłu, powiedziała wolno, dobitnie i wyraźnie „dobrze, ja w tej chwili telegrafuję do Koli, żeby oszczędził Kraków“. (Kola — zdrobniale Mikołaj). Czy mówiła o cesarzu Mikołaju II, czy o W. Ks. Mikołaju Mikołajewiczu nie wiem, wiem tylko, że mówiła o jednym z nich, jako o ludziach, w rękach których była możliwość oszczędzenia lub zbombardowania Krakowa. Ucałowałem obie zorane zmarszczkami ręce hrabiny, przebiegłem przez salon — och jak piękne wydały mi się oba Guardi, jasne, słoneczne, śmiejące się wesoło, uradowany, jak szalony wróciłem do siebie, do domu, pełen otuchy i dobrej myśli. Z zamierającym sercem nasłuchiwałem wieczorem głosów sprzedawców gazet, wykrzykujących ostatnie wiadomości z pól bitew. O Krakowie było cicho. Po kilku dniach komunikat urzędowy doniósł, że Moskale cofnęli się spod Krakowa na „upatrzone wcześniej pozycje“... Do bombardowania nie doszło. Wszystko byłoby piękne jak w bajce w tej historii, gdyby nie ten Mackensen, który akurat w dni te zadał cios potężny Moskwie w bok.

Ale... wolę mieć iluzję, bo bez iluzji życie ludzkie byłoby bardzo ciężkie.

Dnia 31 sierpnia 1927 r.



## „WIECZÓR DANTEJSKI“ NA PENSJI W MOSKWIE

Było to późną 1917 roku w Moskwie w okresie Rewolucji, a nawet już Kiereńszczyzny.

Pewnego pięknego — w istocie pięknego — poranku zjawiała się u mnie młoda, bardzo skromnie ubrana osoba, przedstawiła mi się jako nauczycielka historii na jednej z pensji Moskiewskich i w imieniu przełożonej poprosiła mnie o wzięcie udziału w wieczorze dantejskim, który miał być zorganizowany na tej właśnie pensji. Wieczór miał mieć charakter wyłącznie szkolny dla uczniów i ich najbliższych.

Wobec tego, że uważałem zawsze audytoria szkolne za najwdzięczniejsze i najbliższe mojemu sercu, po pewnych pro forma raczej tylko wahaniach, zgodziłem się na propozycję, tym bardziej, że przedstawiony mi do aprobaty temat mojej przemowy był bardzo wdzięczny, tyczył się bowiem sztuki włoskiej Boskiego Danta, a więc cudownego malarstwa przyjaciela Dantego — Giotta, natchnionego przez ubożuchnego Świętego z Asyżu... cudowne, pachnące kwiatuśkami pra-Odrodzenia.

W umówionym terminie, w niedzielę jakąś stawiłem się na pensji, w jednym z arystokratycznych zaułków dzielnicy Arbatu. Szkoła mieściła się po części w starym empirowym parterowym pałacyku, po części w dobudowanych doń dwupiętrowych nietynkowanych skrzydłach. Wchodziło się do niedużego okrągłego przysionka o surowych pilastrach doryckich, z pułapem kasetonowanym w ośmioboki; na lewo znajdowała się aula, na prawo zaś takiej

samej wielkości wielka szatnia, za którą rozpoczynały się dopiero korytarze i klasy.

Aula — była to wielki salon, niegdyś empirowy, bardzo wysoki, ze śladami minionej świetności, z resztkami bogatych malowanych fryzów na ścianach i na suficie. W głębi auli, na ścianie naprzeciw drzwi wejściowych, wisiał wielki, szafkowy, mahoniowy zegar angielski, którego błyszczące wahadło już dobre sto pięćdziesiąt lat poruszało strzałki, odmierzające na cyferblacie obojętnie godzin nieprzerwane czeredy.

Pod zegarem ustawiona była specjalna na wieczór ten, zapewne, ohydna katedra, wzięta z jednej z klas na wzniesieniu nakrytym kobiercem. Aula zastawiona była zbieraninką mebli: w pierwszym rzędzie kilka foteli, dalej trochę krzeseł wiedeńskich, w końcu szereg ławek szkolnych różnej wielkości.

Przywitał mnie, rozumie się, nauczyciel rysunków, starszy jakiś bezbarwny jegomość, bo witać mnie, jako lektora, było zawsze obowiązkiem czy przywilejem tych skromnych, zahukanych przez los zwykle, ale tak pożytecznych i ważnych pracowników. Skonstatowaliśmy razem, że bardzo średnia latarnia projekcyjna, stojąca pośrodku auli, jest w porządku, że wszystko funkcjonuje jak się należy. W czasie tych manipulacji zjawiała się pani przełożona, nie stara jeszcze. tęga, o szpakowatej wysokiej fryzurze dama, w szarej jedwabnej sukni z koronkami, ze złotymi łańcuszkami na szyi i kilkoma wspaniałymi pierścionkami na tłustej, ale bardzo zgrabnej ręce.

Po kilku zdawkowych komplementach zniknęła, upewniwszy mnie, że latarnią będzie manipulował bardzo zręczny „młody specjalista“.

W sali było sporo osób, zapewne rodziców, rodzeństwa, znajomych, uczennic. Wszędzie kręciły się parami lub w pojedynkę dziewczynki w brązowych sukienkach i czarnych fartuszkach, przeciskając się między rzędami krzeseł i ławek, lokując napływających gości.

Ale szczególną moją uwagę zwróciła grupa trzech „paterów“ tj. księży katolickich, siedzących razem w drugim rzędzie u przejścia.

Jak wyglądali dwaj z nich — nie pamiętam, ale trzeci wrył mi się na zawsze w pamięć. Był to wysoki bardzo, chudy, młody jeszcze człowiek, jakby toporkiem z gruba tylko wyciosany. Twarz miał długą, tak zwaną końską, z wydatną szczęką dolną goloną a kruczoczną, był blady, żółty, z chłodnymi ciemnymi oczami, o wąskiej sienie szparze ust zaciętych. Ręce miał nieprawdopodobnie długie, dłonie wielkie, kościste. Było w tym księdzu coś z nietoperza, coś z surowego fanatycznego inkwizytora niby z portretu El Greco. Chyba ten ksiądz był Hiszpanem.

Wieczór rozpoczął śpiew chóralny. Spora gromadka dziewcząt, otoczywszy wiankiem dyrygenta, młodego wichrowatego człowieka o śmiesznie długim surducie, wykonała kilka pieśni włoskich. Pieśni te były najwidoczniej religijne, przypominały pienia kościelne katolickie, co w tej moskiewskiej, rosyjskiej szkole wydało mi się co najmniej nieoczekiwane. Ale na wieczorze dantejskim...

W miarę, jak dyrygent podnosił lub opuszczał pałeczkę, potrząsając nią czasami gwałtownie, to tulił ręce na piersi, to szeroko je rozrzucał, prostował się, to pochylał, bijąc takt nogą, młode głosiki śpiewały niczym słowiki, bawiące się przejściami od pianissimo do fortissimo. Gro były sopran, podpierały je alty. Było bardzo miło.

I stały mi w oczach cudowne płaskorzeźby marmurowe Lucca della Robia z chóru florenckiej katedry, wystawiające właśnie grupy śpiewających chłopców i dziewcząt. I mimo, że wszystkie twarzyczki pozbawione są klasycznego piękna, bez wyszukanych rysów, takie zwykłe sobie, z postaci tych bije tyle czystości młodszej, tyle promieniuje świętości...

I były jakieś echa wspólne między młodzieżą florencką, śpiewającą w nadziemskim uniesieniu, a małymi moskiewskimi pensjonareczkami w brązowych sukienkach i czarnych fartuszkach.

Po śpiewach dziewczęta rozsypały się po obu stronach katedry, wypełniły oba kąty sali, a kilka z nich usadowiło się na stopniach, tworząc malowniczą nader grupę.

Drugim numerem programu była deklamacja. Deklamowała właśnie ta sama młoda nauczycielka historii, która była u mnie



w sprawie tego wieczoru. Ubrana była w białą wełnianą sukienkę, gładką i skromną, staniczek z długimi rękawami zapięty był pod szyję; jedyną ozdobą był długi szereg guzików białych, biegnących przez środek sukni; robiło to trochę wrażenie białej sutanny.

Była blada, jak śmierć, jak się mówi. Deklamowała z pamięci hymny św. Teresy hiszpańskiej do Chrystusa w pięknym tłumaczeniu rosyjskim.

Głosem z początku cichym, nierównym i załamującym się, potem coraz mocniejszym i dźwięczniejszym roztaczała wizje nieziemskie, czarujące wizje niebios rozwartych, coraz piękniejsze; coraz wspanialsze... Zachwyty, wyznania miłości mistycznej, przeszły wreszcie niby w potoki lawy rozpalonej... Trudno było uwierzyć, że ta mała, chuda osóбка może oddać tyle żaru, tyle ognia, tyle namiętności szalonej. Głos jej brzmiał teraz doniośle, była czerwona jak róża purpurowa, obie ręce i oczy podniosła ku górze — ku anglikańskiemu, purytańskiemu staremu zegarowi, wzywając oblubieńca...

I stanął mi w wyobraźni posąg barokowy św. Teresy z Avila, dłuta Berniniego, znajdujący się nad jednym z ołtarzy kościoła Matki Boskiej Zwycięskiej w Rzymie — omdlewająca w zachwycie Święta, w której serce rzuca złotą strzałkę aniołek kędzierzawy, rozkosznie uśmiechnięty.

Naraz deklamująca zachwiała się, bezwładnie osunęła się na katedrę, o mało nie zrzuciła karafki i spazm szalony rozdarł teraz mocno przesycone jakby specjalnym cieplarnianym zapachem powietrze.

Niespodziewany ten wypadek wywołał jednak większe poruszenie na sali, niż w najbliższym otoczeniu uczennic. Jakby przygotowane do tego panienki co starsze ujęły ją sprawnie wpół i wyprowadziły przez drzwi empirowe do pokojów na prawo. Sunąc wolno biedaczka uśmiechała się w stronę publiczności błogo, z oczu jej płynęły łzy, łzy zachwytu.

Po krótkiej chwili rozpoczął się trzeci punkt programu: znów deklamacja, ale deklamacja bardzo znanej aktorki teatru staniławowskiego.

Aktorka była młoda, koło trzydziestki, pełna blondynka bardzo elegancka, w srebrzystej trochę dekolowanej sukni z herbacianymi różami u piersi. W rękę trzymała rulonik z wierszami, który bardzo gniotła, choć doń nie zajrzała ani razu.

Deklamowała ustępy z „Boskiej Komedii“, jak na wieczór dantejski przystało.

Mocnym, dźwięcznym, doskonale postawionym głosem z dykcją precyzyjną a świetną recytowała przepyszne fragmenty nieśmiertelnej „Comedii“. I tylko tą modulacją głosu wywoływała horrendalne sceny z piekieł, posępne, ponure, dramatyczne, krew mrozące, koszmarne, rozpaczliwe, beznadziejne.

Przyciszała głos do szeptu, to wybuchała jękiem, skargą krwawą, błaganiami o litość, zmiłowanie, to zionęła przekleństwem i nieawiścią.

O Dante nieśmiertelny, natchnienie poetów, malarzy...

Ale arcydziełem skończonym tej deklamacji była scena z widmami Franceski i Paolo, amantów tragicznych z Rimini. Głos aktorki w skargach szybujących wiecznie w przestworzach dwojga istot ze sztyletami wbitymi w piersi był jakby bez koloru, szary, matowy, słaby jak echo, a wstrząsający tym niemniej, chwytający za serce, chwytający za gardło. Ustami jej skarżyli się nieszczęśliwi kochankowie, skazani na wieki...

Stary angielski zegar wydzwonił właśnie bardzo à propos niby memento ósmą, która zapadła się w niebyt.

Kiedy artystka skończyła deklamację, miała łzy w oczach; sala grzmiała oklaskami; podano wiązanek róż białych; przełożona pocałowała ją w oba policzki; bito brawo; wstawano; następowała przerwa.

W czasie przerwy chciałem przejść się po korytarzach, żeby zlustrować trochę publiczność. W tłoku, posuwając się zwolna, otarłem się o księdza — Hiszpana, idącego z młodym chłopcem niezwyklej urody: był to średniego wzrostu młodzieniec, mocny brunecik, trochę kędzierzawy, piękny jak cherubin, może troszeczkę typu semickiego, ale przecież fantazja semitów stworzyła właśnie cherubinów. Twarz miał podłużną, zdrową, świeżą, naiwną,

oczy wielkie czarne, rzęsy powłóczyście. Ubrany był w garniturek szary sportowy z krótkimi po łydki spodenkami. Ksiądz żywo coś mu opowiadał, klepiąc po ramieniu.

Ale oto w tej samej chwili przecisnęła się do mnie fertyczna subretka w białym fartuszku i takimż rurkowanym czepeczku i poprosiła na filiżaneczkę herbatki do gabinetu pani przełożonej.

Ów gabinet, do którego wiodły te właśnie drzwi empirowe, przez które wyprowadzono odtwórczynię hymnów św. Teresy, był to przesłiczny pokój spory, okragły, o przystawionych do ściany kolumnach białych jońskich, nakryty kopułką, cały biały z granatowym i złotym. Meble tylko były ohydne: jakieś czerwone puffy z frędzlami, ale szczególnie okropne było biurko pani przełożonej, czarno lakierowane, bardzo pretensjonalne, z piętrzącymi się nad nim półeczkami o poczerniałych trochę balustradkach.

Przełożona była bardzo uprzejma, gościnna. Subretka wniosła na srebrnej tacy piękne porcelanowe stare filiżanki z herbatą, srebrną cukiernicę ze szczypcami, kosz srebrny z ciastkami, białosnieżne serwetki, wszystko jak się należy.

Rozmowa toczyła się łatwo, ale dość banalnie. Po kilku chwilach, pani przełożona, częstując mnie ciastkiem, rzuciła pytanie, czy jestem katolikiem? Nieco zdziwiony, podkreśliłem jej w odpowiedzi moje imiona wybitnie katolickie i polskie. — A czy pan nie wyczuwa u nas jakiejś szczególnej atmosfery? — atakowała mnie nadal pani domu. Łykając ciastko, — skinieniem głowy potwierdziłem słuszność jej przypuszczenia.

„A więc widzi pan, — mówiła przełożona nieco przyciszonym głosem, wolno, jakby szukając słów, — my tutaj prawie wszyscy jesteśmy katolikami zespół nauczycielski cały, uczennic większość...”

Ręka z biskopem zawisła mi nieruchomo w powietrzu.

„Tak, my jesteśmy Rosjanie, ale katolicy, jak tylu Rosjan zresztą. Rodziny Swieczynych, Golicynych, Iewreinowych, Gagari-nych i tylu innych... Tylko za caratu musieliśmy bardzo się z tym kryć, niczym chrześcijanie pierwotni w katakumbach, dodała melancholijnie, ale dzisiaj, po przewrocie, po rewolucji, Kiereńskij regnante, rozumie pan...”



„A wie pan, ta nauczycielka co zemdląła deklamując hymny św. Teresy, biedaczka, taka słabiutka, nosi na ciele habit z bardzo szorstkiej tkaniny, a jej marzeniem jest zostać Karmelitanką Bosą... Św. Karmel tak ją pociąga... A ten chłopiec, który będzie pokazywał panu przezrocza to jest Żydek, syn bardzo zamożnych rodziców, ochrzcił się przed paru tygodniami, wypędzony z domu tak jak stał, chodzi w sportowym ubranku, a mieszka u jednego z naszych najukochańszych „padre“...

Rozległ się dzwonek przeciągły, zwiastujący dalszy ciąg widowiska i tedy mój występ.

Nie bez zdziwienia zobaczyłem, że ten młodzieniec, który miał manipulować przezrocami jest ten właśnie cherubinek żydowski, neofita.

Na jakieś pytanie moje odpowiedział cichutko, rumieniąc się i spuszczać oczki, niczym panienka przedwojenna.

Wreszcie poprawiono ekran, który zakrył sobą zegar angielski i niezupełnie chciał wisieć jak potrzeba, i wreszcie zabrałem głos.

Z początku, przez ducha przekory, chciałem utrzymać moją pogadankę w tonie realistycznym, rzeczowym, ale ogólny nastrój wytworzony na sali, spotęgowany jeszcze rewelacjami pani przełożonej, zmienił pierwotny mój plan. Mówiłem tedy najcieplej jak mogłem, malując tło sztuk plastycznych czasów Dantego, a najbardziej pomógł mi w tym cudowny Święty Seraficki z Asyżu, którego przepiękną postać złączyłem z jego piewcą w malarstwie trecento, poetą jak Dante, a jego przyjacielem Giotto da Bondone. W miarę przemowy ogarniało mnie coraz większe wzruszenie, a wzruszenie udziela się niechybnie słuchaczom.

W auli było nieznośnie gorąco, latarnia, obok której stałem, piekła mi bok na wolnym ogniu...

Żydek — cherubinek spisywał się znakomicie, nie omylił się ani razu.

Miałem duży sukces. Ofiarowano mi wiązkę kwiatów białych, pani aktorka teatru stanisławowskiego dała mi różę herbacianą, która odpadła zdaje się od torsu.

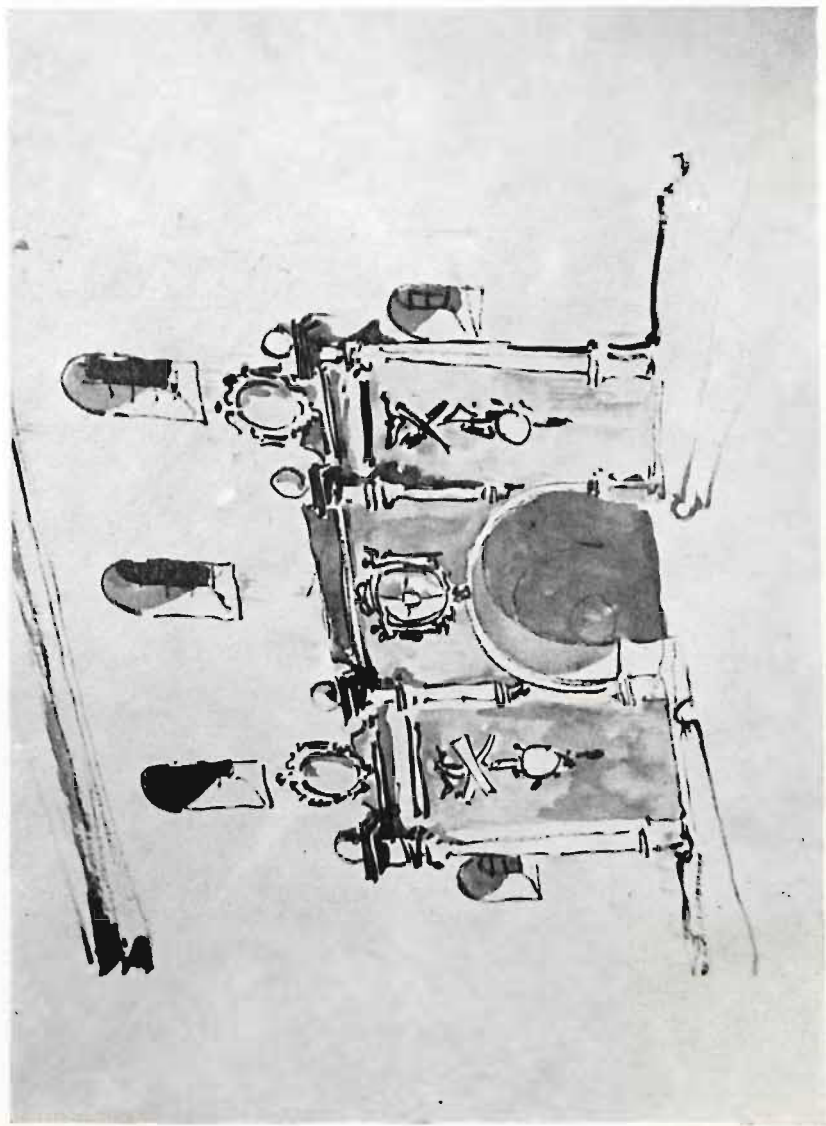
Kiedy po oficjalnych pożegnaniach opuszczałem gimnazjum,

publiczność rozchodziła się jeszcze. Noc była księżycowa, ciepła, cudowna.

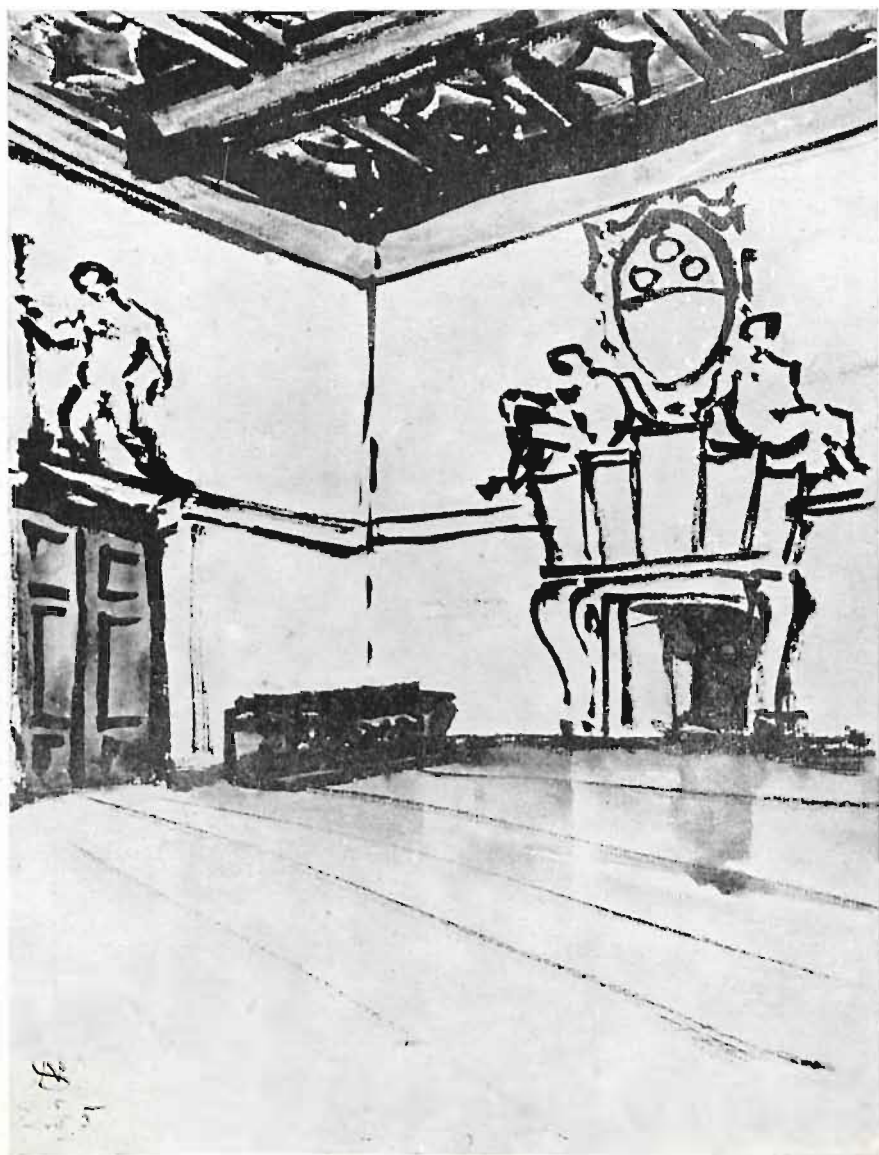
Na pierwszym rogu zaułka i Arbatu zobaczyłem jak do dorożki wsiadali ks. Hiszpan i chłopiec w sportowym ubranku.

W cztery miesiące potem wybuchł przewrót bolszewicki. Na Arbacie i jego zaułkach prowadzono najokrutniejsze walki, jak wszędzie zresztą w Moskwie i gdzie indziej. Sceny piekła dantejskiego zostały wcielone w życie.

1928



26. Brama zamkowa z epoki Wazów



27. Komnata z czasów Zygmunta III